

ELLIS
AVERY

Miłość do pięknej
RAFAELI
odmieniła życie
SAMARY...



OSTATNI FAKT



BUKOWY LAS

1

Wszystko to wydarzyło się szesnaście lat temu. Poznałam Tamarę Łempicką tylko dlatego, że potrzebowałam stu franków. Właśnie okazało się, że gdybym miała czarną sukienkę z białym kołnierzykiem, mogłabym przejąć po mojej współlokatorce posadę ekspedientki w domu towarowym. W roku 1927 trzysta franków kosztowały łóżko albo rower, więc sto franków to była niewygórowana cena za gotową suknię. Niestety, nie miałam nawet tyle.

Postanowiłam najpierw spróbować u Maggey: dałam jej kiedyś pieniądze, gdy musiała pójść do lekarza. Po rozmowie z kierowniczką w domu handlowym wybrałam się więc do Las-ku Bulońskiego.

Maggey przybrała swoje imię od miejsca, w którym zazwyczaj pracowała – pod magnolią na wysuniętym najdalej na południe brzegu większego jeziora, w pobliżu drogi. Kątem oka dostrzegłam, że jakiś mężczyzna obejrzał się za mną, a gdy zbliżyłam się do magnolii (gdzie się podziewa ta Maggey?), zauważyłam innego człowieka w *fiacre*^{*}, który wskazał mnie woźnicy.

Ja zaś zwróciłam uwagę na zaparkowany na trawniku szmaragdowozielony automobil, z którego właśnie wysiadła kobieta z psem. Tworzyli ciekawą kompozycję na tle drzew: chart, zielone bugatti i szczupła, elegancka dama. Obcięte na pazia jasne włosy lśniły blado pod zupełnie bezużyteczną pilotką z kremowej koźlęcej skórki. Pies wyraźnie chciał pognać do lasu, a mimo

* *Fiacre* (fr.) – dorożka.

to stał bez ruchu niczym fragment średniowiecznego gobelinu lub figura na godle herbowym, drżąc cierpliwie, dopóki właścicielka nie spuściła go ze smyczy. Wtedy spojrział na nią pytająco.

– *Vas-y!** – krzyknęła, a on zniknął wśród zieleni jak rozmazana smuga.

Dotarłam do grobli rozdzielającej oba jeziora, ale nie dostrzegłam ani Maggey, ani nadmiernie wystrojonego przyjaciela, którego czasami ze sobą przyprawiała. Postanowiłam, że przejdę się do chińskiego pawilonu na wyspie, a jeżeli po powrocie jej nie zastanę, poddam się i poproszę o pożyczkę moją współlokatorkę, Gin. Niestety, nie mogłam jej poprosić o uniform. Gin miała ptasią urodę i chłopięcą sylwetkę, wówczas modną, podczas gdy ja zawsze czułam się w jej towarzystwie typową ciężką, nowojorską Włoszką. A może, pomyślałam, gdyby dała mi obie swoje suknie, użyłabym materiału z jednej do poszerzenia drugiej? Nie, to by trwało zbyt długo, a ja potrzebowałam uniformu następnego ranka. Słońce podzieliło jezioro na tysiące lusterek o ostrych krawędziach, sosny nade mną rzucały chłodny cień, a ziemię pod moimi stopami zaścilały ich wonne igły. Jeden z mężczyzn na ścieżce coś do mnie powiedział, ale odwróciłam wzrok. Wtedy usłyszałam za plecami kroki i kobiecy głos:

– Gdzie pani kupiła tę sukienkę, *mademoiselle*?

Na rozmowę kwalifikacyjną w Belle Jardinière specjalnie wybrałam swoją szczęśliwą niebieską sukienkę właśnie dlatego, że często wywoływała pełne zachwyty komentarze. Odwróciłam się. Stała za mną dama z zielonego auta. Nie była rodowitą Francuzką, ale na pewno mówiła po francusku lepiej ode mnie.

– Uszyłam ją sama – odrzekłam, onieśmielona jej urodą i bogactwem.

Miała koło dwudziestu lat, była smukła i gibka jak chart, ale jej wschodnioeuropejskie rysy sugerowały skłonność do zmysłowej, leniwej bez troski.

– *Comme c'est jolie*** – pochwaliła.

* *Vas-y!* (fr.) – Idź!

** *Comme c'est jolie* (fr.) – Jaka ładna.

Wskazałam na bugatti.

– A mnie podoba się pani samochód – wyznałam. A przynajmniej miałam nadzieję, że to właśnie powiedziałam.

– Nie jest mój. Mam do pani mówić po włosku? Po angielsku?

– Raczej po angielsku – odparłam zażenowana, lecz natychmiast przeszłam na francuski, wyjaśniając: – Staram się ćwiczyć...

– Ale zastanawiam się właśnie, czy nie kupić sobie takiego auta – przerwała mi. Jej angielski był jak papier ścierny: słowiański i bolesny. To dlatego tak dziwnie mówiła też po francusku. Czyżby była Rosjanką? – Pojedzie pani ze mną na jazdę próbną? – Tego pytania zupełnie się nie spodziewałam.

Zaśmiałam się skrzepowana i zerknęłam na drzewo Maggey. Nadal jej nie było, więc postanowiłam chwilę jeszcze poczekać. Kobieta przywołała swojego psa.

– Seffa!

– Seffa? Dzachodni Wiat? – musiałam powtórzyć jej wyjaśnienie na głos, żeby zrozumieć. – Aha! – zawołałam, gdy w końcu pojęłam, skąd to imię.

Bardziej jak huragan niż zefir Seffa nagle wypadł spomiędzy drzew, niosąc w pysku zakrwawionego królika. Rzucił swoją zdobycz na ziemię i wytarzał się w poszarpanym ciele, unosząc łapy wysoko w górę.

– Nie, Seffa! Dość tego – zabroniła mu dama po francusku i pies posłusznie wstał. Pozwolił, by otworzyła mu pysk i wyjęła z niego resztki królika. Gdy wzięła czworonoga na smycz, stanął przy jej nodze, choć nadal spoglądał w tył, szczerząc zęby.

Dach samochodu był złożony. Kobieta sięgnęła po egzemplarz „Le Temps”, rozłożyła gazetę i wytarła krew z grzbietu psa. Zwierzak pisnął, kiedy ostra krawędź papieru ukłuła go w łapę.

– Do środka – zarządziła dama, a chart w dwóch susach zajął tylne siedzenie, nie spuszczać wzroku z porzuconej ofiary. – Już – zwróciła się do mnie. – Teraz możemy jechać, dokąd pani zechce.

– Żartuje pani? – odpowiedziałam, znów się śmiejąc.

Ona też się zaśmiała, ale zauważyłam, że ciasno splotła dłonie w rękawiczkach. Czerwone usta poruszyły się, zanim się odezwała. Wyglądała, jakby bała się, że może mnie urazić. Spojrzała na moje żalosne stare buty, i nagle poczułam, że pomyślałyśmy o tym samym: ona ma pieniądze, a ja ich potrzebuję. W końcu to Lasek Buloński. Ale co o n a tu robiła?

– Chcę o coś zapytać, ponieważ jest pani piękna – powiedziała – a ja jestem malarzką. Maluję akty. Mogę pani dać moją kartę wizytową? Będę mogła panią kiedyś namalować?

Czy aby tylko o to chodziło? Zerknęłam na nią ostrożnie. Cokolwiek miała na myśli, uznałam, że będę się mogła wycofać, jeśli okaże się to konieczne.

Kobieta powiedziała, że ma na imię Tamara. Jej pracownia mieściła się w VII dzielnicy, niedaleko Lasku. Samochód lśnił butelkową zielenią, kojarząc mi się z jakimś doskonałym owadem albo sprytną zabawką. Przyglądałam mu się, a tymczasem mężczyzna w fedorze zwrócił się do mnie, mówiąc z ciężkim akcentem z Chicago.

– A czy ja też mógłbym panią namalować?

Obrzuciłam go spojrzeniem. Schludnie ubrany młodzian ze Środkowego Zachodu stanął zbyt blisko, ale uśmiechał się z taką nadzieją, że poczułam ukłucie litości. To uczucie sprawiło mi przyjemność.

– Niestety, chłopcze – odrzekłam melodyjnie, a wtedy inny mężczyzna zawołał go po francusku. Obserwowałam, jak Amerykanin i jego przyjaciel witają się, udając, że okładają się pięściami, i zerkając na mnie od czasu do czasu. Miło było przybrać obojętną minę tak jak Tamara. Odwrócić się i stanąć obok samochodu, który nie był taksówką. Uniosłam wzrok na malarzkę.

– Zastanowi się pani nad moją propozycją? – zapytała.

– Zrobię to za sto franków – odrzekłam. – Teraz.

– Sto franków za pięć godzin, tak?

Dostanę posadę po Gin i nie będę jej nic winna. Jeszcze raz spojrzałam w stronę drzewa Maggey.

– Ruszajmy – zdecydowałam.

Dzień był ciepły, ale w otwartym aucie moja letnia sukienka okazała się nieco niepraktyczna, w przeciwieństwie do cienkiej peleryny i pilotki Tamary, nie wspominając o jej długich samochodowych rękawiczkach. Siedziałam w szarym skórzanym fotelu, z zachwytu wstrzymując oddech: w życiu nie jechałam z taką prędkością. Na pierwszych światłach Tamara zapytała mnie o imię, które od razu zapisała.

– Rafaela – powtórzyła, przeciągając dwie środkowe sylaby. Miała automatyczny ołówek z nierdzewnej stali i malutki kremowy notesik, śliczny w swej prostocie. Zapraǳnęłam też posiadać coś takiego. Na kolejnych światłach Tamara poprawiła szminkę na ustach. Nigdy nie widziałam tak czerwonych ust. Pobrudzone krwią rękawiczki miały bladożółty odcień jej włosów, a peleryna i czapka były szare jak jej skryte w cieniu oczy.

Przydrożne drzewa migaly mi przed oczami. Dostałam gęsiej skórki na ramionach i cieszyłam się, że przynajmniej w uda jest mi ciepło. Potem, gdy wyjechałyśmy na otwartą przestrzeń, światło słoneczne wpadło przez przednią szybę i przez moment ciepło ogarnęło mnie całą. Na chwilę odchyliłam się na oparcie, pławiąc się w gorącym słońcu, w pędzie auta, urodzie Tamary. Po to właśnie przyjechałam do Paryża, pomyślałam. Rok temu, jeszcze w Ameryce, jeden rzut oka na suknię od Chanel sprawił, że zapraǳnęłam takiego przepychu, i oto teraz go znalazłam. Oczy Tamary, koloru chromu, spoczęły na mnie. Było zbyt głośno, żebym usłyszała, co mówi, ale uśmiechnęłam się w odpowiedzi. Wyciągnęła rękę, obciążniętym rękawiczką palcem ujęła mnie pod brodę i odwróciła moją twarz do siebie. Przenosiła wzrok ze mnie na drogę i z powrotem. Posłała mi jeszcze jedno pełne aprobaty spojrzenie i znów położyła obie dłonie na kierownicy. Widziałam już tę minę wcześniej, na twarzy Hervégo. Na twarzy Guillaume’a też. Postanowiłam więc poprosić o pieniądze z góry.

Wyjechałyśmy z zielonej, cichej oazy Lasku w jasny, gorący dzień, pełen sunących powoli taksówek i ostro protestu-

jących klaksonów. Ludzie przelewali się falami przez wąskie uliczki. Wózki straganiarzy, pełne warzyw, kwiatów i książek, sunęły centymetr po centymetrze przez tłum. Utknęliśmy za pomarańczowo-brązowym konnym wozem śmieciarza. Tamara zmarszczyła nos, czując smród, po czym gwałtownie skręciła na skwer dla pieszych i wyminęła zaprzęg, napędzając takiego strachu dwóm zakonnicom, że aż wskoczyły na cokół posągu. Odwróciła się, by na nie spojrzeć, i zaśmiała się, a ja zawtórowałam jej trochę nerwowo. Pędziłyśmy wzdłuż rzeki, a potem przez Pont de la Concorde. Sekwana lśniła niczym arkusz ołowianej blachy.

Malarka zaparkowała pod kamienicą w wytwornej VII dzielnicy. Weszłam za nią – i za Seffą, który stukał pazurami po schodach – na drugie piętro do mieszkania o wiele wspanialszego niż te, które kiedykolwiek miałam okazję odwiedzić.

– Pokój mojej córki – powiedziała, wskazując na drzwi z boku. Dojrzałam też fragment kuchni, zanim przeszłyśmy do właściwego apartamentu, złożonego z trzech przestronnych pokoiów w amfiladzie połączonych francuskimi drzwiami, z zasłonami z takiego samego szarego aksamitu, jakim obita była niska sofa, na której usadziła mnie Tamara. Obie pary drzwi były szeroko otwarte: ze środkowego pokoju widziałam wszystko od stołu jadalnego na jednym końcu apartamentu po eleganckie łóżko pod najdalszą ścianą w drugim końcu.

Na niskim marmurowym stoliku przede mną znajdował się szklany słoik ze sztywnym spopielonym zwojem, który wyglądał na resztki spalonej wstążki do włosów. Stały też na nim butelka wody mineralnej i szklanka, a obok leżały kiść winogron i czaszka jakiegoś niewielkiego zwierzęcia. Gdy pies ją zwęszył, Tamara odłożyła rekwizyt na kredens znajdujący się za moimi plecami i nalała mi szklankę wody.

– Możemy zjeść tę martwą naturę, nie udało się – powiedziała i spojrzała na jedyny element nieporządku w tym chłodnym, jasnym mieszkaniu – na podartą stronę ze szkicownika leżącą na podłodze.

Podczas gdy ja skubałam winogrona, Tamara krzątała się po pokojach. Przy okazji wytarła psa oraz rękawiczki wilgotną szmatką, odwiesiła pelerynę i pilotkę, a w końcu potrząsnęła głową, poprawiając blond fryzurę. Coś w jej apartamencie przypomniało mi ulicę, przy której mieszkałam i przy której też miało swoje sklepy kilku marszandów, ale nie były to obrazy na ścianach. Handlarze chyba rywalizowali ze sobą o to, czyje lokum będzie bardziej ponure, i kryli swoje dobra niczym skąpiec sztabki złota. Chodziło raczej o zapach: żywczyzny aromat, który unosił się w pokoju.

– Co to? – zapytałam, pociągając nosem.

– *Huile de lin* – odrzekła, wskazując na stolik zastawiony pędzlami i szklanymi słojami. – Po angielsku nazywa się to chyba olej lniany? I *térébenthine**. Nie wiem, jak to się mówi.

Kiwnęłam głową.

– Winogrona są przepyszne – powiedziałam. Mimo ostrej woni oleju w pracowni owoce bardzo mi smakowały: cierpka skórka i słodki miąższ, pełen pestek.

– Kiedyś, gdy byłam bardzo biedna, przyniosłam do domu ciastka, które miałam namalować. Postawiłam je na tym stole, a potem siedziałam z blokiem, o tutaj, i patrzyłam, patrzyłam, a brzuch powtarzał mi cały czas: „Zjedz je, zjedz je”.

– Zjadłaś?

Tamara, odpowiadając mi, zdejmowała rękawiczki. Moim oczom ukazały się smukłe nadgarstki, długie palce, pomalowane na czerwono paznokcie oraz mnóstwo pierścionków, w tym jeden z kwadratowym topazem wielkim jak orzech. Zalśnił, gdy pokiwała głową, powtarzając po mnie, słowiańska i porywca.

– Zjadłam.

– Jesteś teraz bardzo biedna? – zapytałam, udając, że żartuję, gdy Tamara zniknęła za drzwiami do sypialni. – Mam się martwić o te sto franków?

– Nie, nie, nie, nie, nie. Nie! – odkrzyknęła z sąsiedniego pokoju, w którym przebrała się z fioletowej popołudniowej kreacji

* *Térébenthine* (fr.) – terpentyna.

w czarną bawełnianą sukienkę i biały kucharski fartuch. Weszła z powrotem do salonu, patrząc na mnie. – Wiesz, na czym polega twoje zadanie? Nie wolno ci się ruszać. Będę cię malowała przez czterdzieści pięć minut, a potem masz kwadrans na odpoczynek. I znów czterdzieści pięć minut pozowania, i tak przez pięć godzin. Jest teraz południe. Skończymy o piątej.

Pomyślałam, że Belle Jardinière zamykają o szóstej. Muszę się tam pojawić w uniformie o dziewiątej następnego dnia, zanim sklep zostanie otwarty. Kiwnęłam głową.

– Toaleta jest w korytarzu albo możesz wejść za parawan – powiedziała, wskazując jadalnię – i tam się przebrać.

Wiedziałam, że zgodziłam się pozować do aktu, ale oto nadszedł najtrudniejszy moment – musiałam się rozebrać.

– Ile osób bywa w tym mieszkaniu? – zapytałam niespokojnie.

– Przez cały dzień nie ma tu nikogo – odrzekła Tamara, rozkładając ręce niczym w geście *fiat**. – Dopiero o piątej przyjdzie gospodyni, żeby przygotować kolację dla mojej matki i córki.

– Twoja matka też tu mieszka?

– Och, nie. Tylko ja i Kizette. Mama mieszka niedaleko i opiekuje się Kizette, kiedy wychodzę wieczorem.

– A mąż? – zapytałam, zanim zdążyłam pomyśleć.

– Jest w Warszawie – rzuciła krótko. A potem, jakby chciała uprzedzić kolejne pytania, przeszła na drugą stronę pokoju. – To dla ciebie – oznajmiła, otwierając kluczem szufladę. Z szarej satynowej kopertowej torebki wyjęła banknot, który położyła na stole obok winogron. Sto franków, czyli czarna sukienka z białym kołnierzykiem.

– Dziękuję – powiedziałam. Poczułam ulgę, że zapłaciła, ale mimo to dalej spokojnie popijałam wodę. Chciałam przeciągnąć tę chwilę, kiedy to ona jeszcze była mi coś winna, zanim wezmę pieniądze i ja stanę się jej dłużniczką. Z hardą miną odstawiłam w końcu szklanekę. – Wezmę banknot, gdy będę wychodzić – dodałam.

* Łaciński przekład hebrajskiego „amen”, „niech się stanie!”.

Za parawanem w jadalni znalazłam wannę, nocnik i haczyk na ścianie z pojedynczym wieszakiem. To pewnie dla ciebie – zwróciłam się w myślach do mojej szczęśliwej błękitnej sukienki. – No to bierzmy się do roboty.

Wystarczył jeden rzut oka na pewną sukienkę, bym zapragnęła wyjechać do Paryża. Latem, rok przed tym, zanim poznałam Tamarę, mieszkałam w Bronksie z matką mojego ojczyma, *nonną** Gioią. Z jej mieszkanek przy Grand Concourse Boulevard – niedużej celi pełnej wypolerowanych mebli, porcelanowych figurek i włoskich świętych obrazków – mogłam wychodzić tylko na małe balkon, żeby podlewać rośliny. Nie tęskniłam za moimi braćmi, czterema urwisami w wieku od trzech do dziewięciu lat, ale nudziłam się bez nich tak okropnie, że podlewałam kwiaty dwa razy dziennie. *Nonna* Gioia nie aprobowała swojej najbliższej sąsiadki, urodziwej wdowy o imieniu Theresa, ale ja bardzo lubiłam zaglądać z balkonu do jej mieszkania. Theresa często wychodziła. Od piątej przesiadywała przy oknie, z kapeluszem położonym na stoliku obok, i czekała, aż pod domem zatrzyma się czarny automobil. Wtedy wkładała swój *cloche*** tak nisko, że zakrywał jej oczy, wychodziła przed dom w długim jasnym płaszczu i zajmowała miejsce na tylnym siedzeniu auta, nie odzywając się do kierowcy. Czasami wracała do domu dopiero nad ranem.

Każdego popołudnia Theresa siadywała na balkonie, żeby wypić kawę i wysuszyć lśniące włosy obcięte na pazia. Pewnego dnia przez cały ranek pociłam się przy piecu na polecenie *nonny* Gioi, ale w końcu wyszłam zdyszana na balkon, a tam stanęłam twarzą w twarz z sąsiadką z włosami wilgotnymi po kąpieli, odzianą w promienny róż.

– O! – zdziwiła się. – Nie wiedziałam, że pani Russo z kimś mieszka.

* *Nonna* (wł.) – babcia.

** *Cloche* (fr.) – kapelusz damski w kształcie hełmu, modny w latach 20. i 30. XX wieku.

– To moja babka. Matka mojego ojczyma. Spędzam u niej lato. – Zerknęłam nerwowo za siebie, do mieszkania. *Nonna* była w kościele i mogła lada moment wrócić.

– Masz kłopot?

– Słucham? – Czyżbym wyglądała tak mizernie, jak się czułam?

– Masz kłopot? – powtórzyła.

– Rodzice odsyłają mnie do Włoch, żebym wyszła za mąż – wyjaśniłam.

– A, kiedy już dzidzius przyjdzie na świat... – powiedziała.

– Wszystkim to odpowiada, co?

Wpatrywałam się w nią ze zdumieniem. Jaki dzidzius?

Sięgnęła nad barierką i dotknęła mojego ramienia.

– Kiedyś urodzisz kolejne – pocieszyła mnie.

– Ale...

– Bo przecież – wzruszyła ramionami, obdarowując mnie uśmiechem niczym potajemnym uściskiem dłoni – reputację można stracić tylko raz, prawda?

– Pani chyba sądzi, że jestem w ciąży, a to nieprawda – za-protestowałam niezdarne.

Uśmiech Theresy, zaskakujący nagłym ciepłem, zniknął.

– Och – westchnęła. – Przepraszam, kochanie. Dziewczyna wyjeżdża na kilka miesięcy do babki i... – Wykonała wymowny gest opisujący moje aż nazbyt kobiece kształty. – Przepraszam.

– Rozumiem – zapewniłam ją. – Nie ma sprawy. Proszę się nie przejmować.

– A poza tym nigdy cię nie widziałam na dworze – dodała na swoją obronę.

– Naprawdę nic nie szkodzi – powtórzyłam. – Babka daje mi sporo zajęć.

– Musisz czasami wyjść. Ładna pogoda nie trwa wiecznie.

– Podoba mi się pani sukienka.

– Naprawdę?

Pokiwałam głową. Theresa miała na sobie jednobarwną różową sukienkę z obniżoną talią z dodatkową zakładką

z przodu, uszytą z lekkiej wełny, która przylegała do ciała, nie marszcząc się, i sprawiała, że jej długie nogi wyglądały na jeszcze dłuższe. Prążkowany ścieg tkaniny nadawał sukience metaliczny połysk jak karoserii samochodowej, a rząd miękkich pętelek wokół dekoltu w kształcie V, od jego szpicu ozdobionych różowymi guzikami, ciągnął się aż do pępka. Z niedowierzaniem przyglądałam się materiałowi. Nigdy wcześniej nie widziałam kobiecego pępka przez ubranie. Nigdy też nie widziałam sukienki tak prostej, a jednocześnie tak stylowej, tak uwodzicielskiej i tak eleganckiej.

– To z Paryża, kochana – wyjaśniła, równie zadowolona z tego, że niezręczna chwila minęła, jak i autentycznie dumna ze swojego stroju. – Coco Chanel.

Po tej niefortunnej wymianie zdań nie rozmawiałyśmy już więcej. Wiele razy myślałam o tym uśmiechu, którym mnie obdarzyła, uśmiechu – który szybko ofiarowała i równie szybko wycofała – dającym do zrozumienia, że jesteśmy bratnimi duszami i że my dwie jakoś okpiłyśmy wszystkich innych. Gdy po raz pierwszy spotkałam moją współlokatorkę Gin w barze restauracji Vaudeville w grudniu 1926 roku – mężczyźni, z którymi się wówczas widywałyśmy, namówili nas, żebyśmy weszły z nimi na krzesła i zaśpiewały *Marsyliankę* – jej smukła, elegancka sylwetka przypomniała mi Theresę w prążkowanej sukience. Od tamtej pory często widywałam, jak Gin wsiada do taksówki z taką samą łatwością jak sąsiadka z Bronksu. Widziałam, jak wraca następnego dnia, równie opanowana i pogodna. Dopóki nie spotkała swojego aktualnego kochanka, Daniela, nieraz wymieniałyśmy konspiracyjne uśmiechy *à la* Theresa.

Moja szczęśliwa sukienka, zainspirowana tamtym strojem od Chanel, była uszyta z błękitnej jak niebo mieszanki surowego jedwabiu z lnem, która odbijała światło niczym cekiny, i leżała na mnie jak warstwa farby. Kiedy miałam ochotę na odmianę po bagietce z serem zjadanej samotnie w domu, mogłam pójść w tej sukience do kafejki i za każdym razem

jakiś mężczyzna – choć rzadko kiedy taki, który mi się podobał – zapraszał mnie do restauracji. Teraz gdy zdejmowałam ją za parawanem w mieszkaniu Tamary, usłyszałam zbliżający się stukot wysokich obcasów i malarka podała mi kłęb materiału.

– Włóż to – poprosiła.

Sukienka, którą mi wręczyła, nawet nie umywała się do mojej: była to brudnobrązowa, workowata sukmana z szerokimi paskami zamiast rękawów. Wciągnęłam ją przez głowę i ze zdumieniem odkryłam, że od środka jest zupełnie niewykończona, choć z zewnątrz wyglądała na uszytą dość porządnie. Ogarnęło mnie lekkie poczucie wyższości, gdy poprawiałam rąbek materiału, który zawinął się pod stanikiem: ja przynajmniej wiedziałam, jak wykończyć szew. Czyżby Tamara sama uszyła tę sukienkę? Czy szukała dziewczyny, do której ten dziwny kostium mógł pasować? Wysłałam zza parawanu, czując się w tym worku niczym kielbasa.

– Usiądź. – Tamara wskazała kawiarniane krzesło przy stoliku. – Dobrze. Teraz połóż prawą rękę tutaj, na lewym nadgarstku. Dobrze. Nie ruszaj się. Najpierw będę cię szkicowała przez dziesięć minut.

Usiadłszy naprzeciwko na szarej sofie z blokiem na kolanach, ujęła węgiel rysunkowy i spojrzała na mnie. Jej oczy przypominały rtęć. Wpatrywała się we mnie z tak beznamietnym, pustym wyrazem, że aż poczułam się nieswojo. Gdy wreszcie spojrzała na dół i jej dłoń zaczęła sunąć po kartce, z ulgą odwróciłam wzrok.

Bardziej stylowa niż Theresa i bardziej nawet opanowana niż Gin, Tamara przypomniała mi kolejną kobietę, którą poznałam trzy miesiące po spotkaniu na balkonie. Tamtego dnia po raz pierwszy wkroczyłam do sklepu Chanel, wspierając się na ramieniu mojego elegancko odzianego narzeczonego Guillaume'a. Poprowadził mnie lustrzaną klatką schodową, abym przymierzyła obcisłą atlasową sukienkę koktajlową w kolorze rubinowym, obsługiwana przez najbardziej wyrafinowaną

i kompetentną damę, jaką kiedykolwiek spotkałam. Sposób, w jaki Tamara odzywała się do mnie – bez wahania, bez chwili zwątpienia w siebie – przypomniał mi tę krawcową u Chanel, równie nieustraszoną w obliczu wieku, postury i pieniędzy Guillaume’a, jak wobec lśniącego, miękkiego materiału w swoich rękach. Pamiętam, że gdy szwaczka drapowała i upinała na mnie tkaninę, byłam tak zatrwożona, że bałam się odezwać. Potem Guillaume zabrał mnie na drugą stronę rue Cambon do Ritza, przez który przemknęliśmy obitym pluszem korytarem, by znaleźć się w zbytkownej ciszy ośmiokątnego Place Vendôme.

– *C’est belle, n’est ce-pas?** – zapytał.

Rzeczywiście, ten rozległy kanciasty plac z milczącą kolumną, otoczony arkadami, wydał mi się piękny. Skinęłam głową, nadal oniemiała.

Nigdy nie włożyłam tej czerwonej atlasowej sukni. Dopóki byliśmy razem, Guillaume zapewniał mi mieszkanie z odźwierzyną, windą i ogrzewaniem parowym. Zabrał mnie do kosmetyczki, żeby wydepilowała moje zrosnięte brwi w dwa łuki, i do *coiffeur*, żeby ostrzygł mnie na pazia. Ubrał mnie w nowe stroje, od czółenek na obcasie po *cloche* od Lanvin, od jedwabnych pończoch po płaszcz z kołnierzem z lisa. Posłał mnie do Alliance Française i zapłacił za lekcje. Jednak tego dnia, gdy umiałam już zamiast „Czy to jest sałatka?” zapytać „Dlaczego ci się podobam?”, zrezygnował.

– *Ça commence à bien faire!* – uznał, mając na myśli to, że ma dosyć. Patrzyłam na niego zbita z tropu. „Zaczyna się dziać dobrze?”

W następnym tygodniu Guillaume do apartamentu obok sprowadził milczącą i zdezorientowaną młodą Szwedkę. Pomyslałam na jej widok: „Oto kolejne brzydkie kaczątko, które chciałbyś zmienić w łabędzia”. Nie czekałam, żeby sprawdzić, czy odbierzemy moją suknię. Za to przespałam się z jednym z jego pracowników, mężczyzną o imieniu Hervé, zbyt młodym

* *C’est belle, n’est ce-pas?* (fr.) – Piękny, prawda?

nawet, by przypuszczać, że walczył na wojnie. Zanim wróciłam z jego pieniędzmi na rue Cambon, czerwona kreacja zniknęła.

Teraz w mieszkaniu Tamary uśmiechnęłam się ironicznie pod nosem. Nie umiałam potakiwać i mizdrzyć się do mojego bogatego kochanka, nawet za suknię od Chanel, i tak to się skończyło, że muszę pozować, aby kupić sobie gotowy uniform do pracy.

– Nie ruszaj się – upomniała mnie malarka.

– Przepraszam.

Tamara zamieniła czarny węgiel na żółtobrazowy barwnik, piętka chleba wycierając linie, które jej się nie podobały. Zerknęłam przez okno bawialni. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się niska powozownia, więc przestronny pokój tonął w chłodnym północnym świetle. Najbardziej zniewalającym elementem w salonie, prócz samej Tamary, była sofa. Niska, szeroka i tak jak ściany pokryta szarym aksamitem, lśniła perłowym blaskiem, gładka i sterylna niczym kozetka w gabinecie lekarskim. Miałam ochotę zwinąć się na niej jak dziecko, wtulając policzek w pluszowy mech. Chciałam tak zasnąć na wiele godzin. Wzrok Tamary napotkał mój i malarka uśmiechnęła się.

– Ładna – odezwałam się głupio, pokazując palcem.

– Porozmawiamy później – ucieła.

Zawstydzona spojrzałam w bok, tym razem na otaczające mnie płótna. Podczas gdy w jadalni, pełnej zielonego światła sączącego się przez bluszcz otaczający okno, nie było żadnych dzieł sztuki, w sypialni i salonie aż roilo się od obrazów. Wisiały na ścianach, spoczywały na sztalugach, stały oparte w rogach. Największy znajdował się nad łóżkiem Tamary w pokoju obok. Był to portret ubranej po męsku kobiety.

– Możesz chwilę odpocząć – zaproponowała malarka, masując sobie ramiona.

– Ty to namalowałaś? – zapytałam. Ona zaś posłała mi wyrozumiały, lekko sarkastyczny uśmiech. Przeszłam do sypialni, żeby lepiej się przyjrzeć portretowi. Obraz był wyższy ode

mnie. I szerszy też. Kobieta na płótnie miała na sobie długi czarny płaszcz, białą koszulę z kołnierzykiem, bryczesy i wysokie, lśniące czarne buty. Wyglądała niczym dandys albo dyktator, upozowana na tle miasta, jakby była jego właścicielką, z połową ciała wyprostowaną w zwycięskiej pozie, a połową leniwie opartą o stolik ukryty pod draperią.

– Hrabina de la Salle – wyjaśniła Tamara. – Matka mojej przyjaciółki. Ale namalowałam ją jako Violette Morris, lekkoatletkę.

Informacje o Violette Morris często pojawiały się w gazetach. Ta zawodowa piłkarka została również mistrzynią Francji w boksie w roku 1923, po pokonaniu kilku przeciwników płci męskiej. Do jej pasji należały wyścigi motorowe, samochodowe i samolotowe, a jej kochankami, jak wieść niosła, byli zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Widziałam jej zdjęcia kilkakrotnie. Bardziej niż podobieństwo w wyglądzie czy w stroju Morris i hrabinę łączyła taka sama pewność siebie, taka sama arogancka wyniosłość.

Cofnęłam się o krok. Ciekawe, jak mężowi Tamary podoba się codzienna pobudka pod czymś takim? – pomyślałam, patrząc na wielkie szare aksamitne łoża, zarzucone poduszkami z ciemniejszej szarej satyny. Wtedy zauważyłam wezgłowie: polakierowane na szaro drewno było ozdobione płaskorzeźbą przedstawiającą dwie kobiety, których nagie ciała leżały splecione na tle fantastycznego, stylizowanego krajobrazu. I co on myśli o tym?

– Mąż na długo wyjechał do Warszawy? – zagadnęłam.

– W ogóle nie zamierza wrócić – odrzekła chłodno.

Mogłam się była domyślić, ale nigdy nie spotkałam kobiety tego typu. *Donna-uomo* – matka nas straszyla, że staniemy się kimś takim, jeśli będziemy zbyt leniwe, żeby rozjaśniać wąsik. Dwie kobiety w łóżku to widok, na który chętnie by sobie popatrzył nasz chłopak. Zerknęłam nerwowo na Tamarę. Uf, pomyślałam, wygląda na to, że chce mnie tylko namalować. I mogę w każdej chwili wyjść, przypomniałam

sobie. Czulałam się bardziej niespokojna niż wystraszona, kiedy wróciłam do środkowego pokoju, w którym najlepiej wyeksponowane prace stały na stojakach na kółkach.

– To on – powiedziała, wskazując wykonany węglem szkic męczyzny naniesiony na płótno. Jego płaszcz niewiele się różnił od ubrania hrabiny de la Salle. Zacięty, pusty wyraz twarzy sprawił, że nie miałam ochoty na niego patrzeć.

– A to kto? – zapytałam, pokazując inne płótno, na którym do połowy namalowana młoda dziewczyna z dość dorosłą miną siedziała przy oknie w szkolnych bucikach i podkolanówkach. Zauważyłam, że do sztalug jest przypięta fotografia tej dziewczynki, w wieku mniej więcej jedenastu lat, również siedzącej przy oknie i spoglądającej na mnie ostrożnie.

– Moja córka. W ciągu dnia korzystam z fotografii, a po szkole Kizette mi pozuje.

– Przecież jest lato. Chodzi teraz do szkoły?

– Miała trudny rok – odrzekła ostro Tamara, a na jej twarzy pojawiło się napięcie.

Wycofałam się i odwróciłam do trzeciego obrazu: dwie uczesane na pazia kobiety stały blisko siebie: jedna rozmarzona, z oczami zwróconymi ku górze, druga czujna, spoglądająca na coś tuż nad moim ramieniem.

– Wydawcy „Die Dame” poprosili, żebym przygotowała dla nich obrazy na okładki – wyjaśniła, wymieniając nazwę słynnego niemieckiego magazynu o modzie. – Ten jest pierwszy. Właśnie go pokryłam werniksem.

– Słucham? – Przez chwilę nie rozumiałam jej akcentu.

– To ta przejrzysta warstwa na obrazie. *Gomme-dammar** rozpuszczona w *térébenthine*.

Wtedy dostrzegłam lśniąca powierzchnię dzieła. Zauważyłam nawet delikatne zacieki przy górnej krawędzi, jakby obraz leżał tuż pod powierzchnią wody. Do tej pory nie widziałam zbyt wielu dzieł sztuki, a już nigdy żadnemu nie przyglądałam się tak dokładnie. Przez chwilę dostrzegałam trzy warstwy

* Damara – miękka żywica stosowana do wyrobu werniksów.

naraz: werniks, farbę i fakturę płótna pod spodem. A potem malowidło przestało być nagle przedmiotem i stało się znów obrazem.

– Kim są te kobiety? – zapytałam.

– To moje przyjaciółki, Ira i Romana. Romana jest córką hrabiny de la Salle – wyjaśniła, niedbale machając ręką w stronę amazonki w sypialni. – Ale, ale! To był dopiero trudny model. – Wskazała skłębiony wokół szyi czujnej modelki pomarańczowy szal, który zajmował niemalże jedną trzecią płótna. – Nieprzewidywalny – dodała, jakby zadowolona, że zna to słowo po angielsku. – Wymagający. Nie potrafił ani chwili pozostać bez ruchu. Tkanina nie ma pamięci, więc trzeba ją całą namalować od razu. To obraz musi ją zapamiętać. Ciekawie się ćwiczy rysowanie zwęglonego materiału – dodała, pokazując spalony zwitek wstążki w słoiku. – Ale można wszystko łatwo zepsuć. – Patrząc jednocześnie na namalowany i na zwęglony materiał, mogłam dostrzec, jak się uczyła, odtwarzając ostre krawędzie tego drugiego.

– Z czego jest ten szal? – spytałam. – Z szyfonu?

– Dlaczego akurat z szyfonu? – zainteresowała się.

Ponownie wskazałam na obraz.

– Jest lekki. Miękki, a jednak odrobinę sztywny. Wydaje się przejrzysty, ale nie do końca. I podwija się na brzegach – dodałam.

Twarz Tamary rozjaśniła się z radości.

– Dobra robota – oznajmiła i poszła do sypialni, żeby wyjąć coś z szuflady: był to ten sam szal, cieniutki brzoskwiniowy jedwab, który rozpałił złoty blask w szarym pokoju. – Masz dobre oko – pochwaliła mnie. – Weź, proszę.

– Nie mogę – zaprotestowałam, choć nie potrafiłam odebrać wzroku od materiału.

– Załóż go któregoś dnia. Dla mnie – uparła się, wciskając miękką tkaninę w moje dłonie. Podziękowałam jej z zażenowaniem, po czym spojrzałam na obraz na ostatnim stojaku. Tylko głowa była skończona: zobaczyłam smutną kobietę

o drobnej, nerwowej twarzy. Duże, toporne ciało nakreślone było kilkoma kreskami węgla na płótnie: ramiona, skrzyżowane w nadgarstkach dłonie, skromna sukienka bez rękawów – och, taka jak ta, którą miałam na sobie.

– To żona mojego przyjaciela z Polski, krytyka sztuki. Pisał o mnie bardzo pochlebne recenzje – wyjaśniła. – To prezent dla nich. – Zauważyła, że przenoszę wzrok z obrazu na sukienkę i z powrotem. – Ta kobieta musiała wrócić do Polski, zanim skończyłam malować, więc nie wiedziałam, co zrobić. I wtedy spotkałam ciebie, a ty masz ciało takie jak ona: piękne! – Gest, który wykonała, wydawał się niemalże nieprzyzwoity. – Teraz mogę dokończyć obraz. Ostatnio pozowałam pięć albo dziesięć minut, teraz to potrwa pół godziny.

Znów usiadłam na krześle i złożyłam dłonie jak tamta Polka. Błądziłam wzrokiem po ścianach. Nagi czy ubrany, każdy, kogo malowała, wyglądał majestatycznie, nawet męska hrabina emanowała jakimś blaskiem. Natomiast polska żona była jakby znękana i zaniedbana. Kiedy się przebierałam, zauważyłam w lustrze za parawanem, że ramiączka nie układają się równo na plecach. Ten, kto szył sukienkę, był niecierpliwy, pomyślałam. Wyciął ramiączka prosto, zamiast je dopasować i zrobić przymiarkę na modelce. Może Tamara skoryguje je na obrazie.

Czas mijał, a ja uświadomiłam sobie, że nie czuję się już niezręcznie. Ogarnęła mnie za to zazdrość. Dlaczego dostałam brzydką sukienkę i brzydki portret? I dlaczego Tamara nie namaluje mojej twarzy? Obok podobizny hrabiny wisiał akt przedstawiający kobietę gładką, nowoczesną, olimpijską, która osłaniała rękami twarz. Może to takie dziwactwo Tamary? Po prostu nie maluje twarzy. Nie, zauważyłam mnóstwo twarzy w pokoju, z czego niektóre, mówiąc szczerze, wcale nie tak ładne jak moja. Tak jakby ubierając mnie w brzydką sukienkę, przestała mnie widzieć. „Piękne ciało” – powiedziała. Naprawdę tak sądziła? Miałam ochotę zdjąć suknię i pozować dla niej na tej aksamitnej sofie. Chciałam, żeby zobaczyła we mnie ten majestat, który dostrzegą w innych.

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

Paris, rok 1927. Trwają szalone lata przed kryzysem – bankierzy ubierają swoje kochanki u Coco Chanel, a artyści spotykają się w awangardowej księgarni Shakespeare and Company. Pewnego czerwcowego dnia młoda Amerykanka Rafaela Fano wsiada do samochodu pięknej nieznajomej, którą okazuje się słynna malarka epoki art déco, Tamara Łempicka.

Życiowa rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, więc zgadza się pozować dla polskiej artystki o mrocznej przeszłości i wywłaszczonej arystokratki. Kobiety zostają kochankami, a uroda Rafaeli inspiruje Łempicką, która tworzy swoje najznakomitsze i najśłynniejsze dzieła. Oparty na faktach z życia Tamary Łempickiej *Ostatni akt* to mistrzowski popis wyobraźni historycznej autorki. Fascynująca powieść o geniuszu i sztuce, o miłości i pożądaniu, o żalu i nadziei, która wykracza poza czas i przeciwności losu.

Nr 21000111

ISBN 978-83-8074-522-3



9 788380 745223

bukowylas.pl

Polub nas na Facebooku



Cena: 44,90 zł

(w tym VAT)